

Wojny kogoś innego

10 czerwca 2016

Pokusa odwrotu z areny międzynarodowej, nękająca politykę zagraniczną Baracka Obamy od 2009 r., udzieliła się również republikanom. Zapowiada się sytuacja bezprecedensowa od zakończenia II wojny światowej: jeśli kandydatem demokratów na prezydenta Stanów Zjednoczonych nie zostanie tradycyjnie antywojenny Bernie Sanders, lecz Hillary Clinton, to kandydat republikański będzie mniej skłonny do interwencji wojskowych za granicą niż jego demokratyczna rywalka.

„Mętny”, „słaby”, „niezdecydowany”, „zdrajca”, „tchórz”, „naiwniak”, „niespójny”, „bez wizji”, „niedoświadczony”: przez 8 lat republikanie nie stronili od najostrzejszych słów, gdy oceniali Baracka Obamę i jego politykę zagraniczną. Prezydent, odmawiając stosowania siły, podkopał wielkość i wiarygodność Stanów Zjednoczonych.

Choć obaj główni rywale w prawyborach republikańskich nie tracą żadnej nadarzającej się okazji, aby podkreślić, jak bardzo Obama upokorzył Stany Zjednoczone, w dużej mierze odłożyli na bok swoje ekstremistyczne na tym polu dyskursy. W grudniu 2015 r. Ted Cruz skrytykował „oszałałych neokonserwatystów, którzy chcą najechać wszystkie kraje na planecie i posłać nasze dzieci na śmierć na Bliskim Wschodzie” [1]. W tym samym miesiącu, przemawiając przed bardzo konserwatywną Heritage Foundation, podkreślił on szkodliwość amerykańskich interwencji wojskowych odwołując się do przykładu Libii, a następnie dodał: „Nie ma takiego obozu, który należy wspierać w syryjskiej wojnie domowej”. Przypomina to pewną wypowiedź Obamy: 10 września 2013 r. prezydent uznał, że konflikt syryjski to „wojna domowa kogoś innego”.

Donald Trump nie zamierza urządzać ekspedycji wojskowej na Bliski Wschód. „Wydajemy tam biliony dolarów, a w naszym kraju rozpada się infrastruktura”, skarżył się 3 marca. Tu również

można by pomyśleć, że to słowa obecnego lokatora Białego Domu: „W ostatnich dziesięcioleciach wojna kosztowała nas bilion dolarów – w chwili, gdy eksplodował nasz dług i gdy czasy były trudne dla gospodarki. (...) Czas skupić się na budowie naszego państwa”, stwierdził w 2011 r. Obama zapowiadając rychły powrót do domu tych żołnierzy amerykańskich, którzy jeszcze przebywali w Afganistanie.

Po stronie demokratów często bywało tak, że kandydaci krytykujący interwencjonizm wojskowy plasowali się na dobrych miejscach w wyścigu po nominację. Tak było w przypadku przeciwnika wojny w Wietnamie George’a McGoverna w 1972 r., czarnego pastora Jesse Jacksona w 1984 i w 1988 r. – ten ostatni np. napiętnował poczynania Stanów Zjednoczonych zmierzające do obalenia rządu nikaraguańskiego – czy nawet Obamy, krytyka wojny w Iraku, w 2008 r. Trzeba natomiast powrócić aż do 1952 r. i do kandydatury Roberta Tafta, aby znaleźć republikanina, który przeciwstawiałby się ekspedycjom wojskowym i miałby szansę na nominację na kandydata swojej partii. Ten senator z Ohio był przeciwnikiem Planu Marshalla i NATO, gdyż uważał je za nieskuteczne i zbyt kosztowne oraz głosił, że Ameryka powinna stosować siłę tylko w razie bezpośredniego zagrożenia dla „wolności swojego narodu”. Prawybory przegrał o włos z gen. Dwightem Eisenhowerem. Odtąd kluczem do sukcesu w prawyborach republikańskich jest afirmacja powołania Stanów Zjednoczonych do przewodzenia światu. Był to jeszcze centralny wątek w programach polityki zagranicznej Johna McCaina w 2008 r. i Willarda („Mitta”) Romneya w 2012 r. Obecny zwrot w partii republikańskiej jest tym bardziej zaskakujący, że obóz konserwatywny oburzała przez 8 lat „słabość” Obamy – pod pretekstem, że nieraz okazywał powściągliwość, gdy pojawiały się pomysły zbombardowania jakiegoś kraju.

SZTAB OBAMY TO PRZECIWNICY INTERWENCJI

Zwrot ten łatwiej jest zrozumieć, gdy analizuje się generalną ewolucję amerykańskiej polityki zagranicznej po 2009 r.

Podczas swoich dwóch kadencji w Białym Domu były senator z Illinois był oskarżany o prowadzenie polityki, która nie kierowała się żadną wielką zasadą. W odróżnieniu od prezydentów Harry'ego Trumana („powstrzymywanie” Związku Radzieckiego), Eisenhowera („wypieranie” komunizmu), Richarda Nixona („odprężenie” w atmosferze napinania mięśni), Jamesa Cartera („prawa człowieka”), Ronalda Reagana (konfrontacja z radzieckim „imperium zła”) czy jeszcze George’a W. Busha („wojna z terroryzmem”), nie pozostawi on po sobie doktryny, która mogłaby nosić jego imię, lecz zbiór nieraz wzajemnie sprzecznych wyborów. W 2011 r. towarzyszył koalicji, której celem było obalenie panowania Muammara Kaddafiego w Libii, a następnie przestał interesować się tym krajem; oddaje się skrytym i całkowicie nielegalnym (z punktu widzenia prawa międzynarodowego i amerykańskiego) atakom dronów, ale angażuje się w wielostronny wysiłek dyplomatyczny, którego celem jest podpisanie porozumienia w sprawie irańskiego programu jądrowego i potrafi okazać odwagę, gdy postanawia przywrócić stosunki z Kubą.

Prezydent musi żeglować między siłami, które starają się wpływać na jego dyplomację: opinią publiczną, która skłonna jest opowiadać się jednego razu za izolacjonizmem, a innym razem za interwencjonizmem, bo wystarczy, że dojdzie do zamachu lub ścięcia amerykańskiego dziennikarza; kongresmenami z przeciwnej partii, którzy zawsze gotowi są oskarżyć go o słabość; swoimi doradcami, sekretarzami i współpracownikami; sojusznikami Stanów Zjednoczonych, którzy oczekują, że Waszyngton zachowa się zgodnie z ich interesami; przeciwnikami, którzy śledzą każdy fałszywy ruch po to, aby przesunąć do przodu swój pionek. Niektórzy prezydenci podejmowali decyzje w ścisłej współpracy z sekretarzami stanu: Truman i Dean Acheson, Eisenhower i John Foster Dulles, Reagan i George P. Schulz. Inni polegali na swoich doradcach do spraw bezpieczeństwa narodowego czy sekretarzach stanu (Nixon i Henry Kissinger, Carter i Zbigniew Brzeziński). Obama decyduje sam lub wraz z gwardią bliskich mu osób: Benjaminem Rhodesem,

Denisem McDonoughem, Markiem Lippertem. Są to mężczyźni poniżej pięćdziesiątki, którzy przeszli swój chrzest bojowy nie w latach zimnej wojny, lecz po 11 września 2001 r. i należą do nurtu antyinterwencjonistycznego [2].

Prawdą jest, że obecny prezydent mianował bardziej doświadczone osoby na kluczowe stanowiska w aparacie dyplomatycznym i wojskowym: Roberta Gatesa, Leona Panettę i Chucka Hagela w Departamencie Obrony, Hillary Clinton i Johna Kerry'ego w Departamencie Stanu itd. Ich głosy nieraz ważyły, np. w 2009 r., kiedy Clinton przekonała Obamę do poparcia zamachu stanu w Hondurasie. Lecz w chwilach kryzysowych Obama nie zawsze ich słuchał. W swoich wspomnieniach Gates stwierdza, że za prezydentury Obamy „Biały Dom był o wiele bardziej scentralizowany i sprawował o wiele ściślejszą kontrolę niż za kogokolwiek, kogo widziałem u steru władzy od czasów Richarda Nixona i Henry'ego Kissingera” [3].

NIEPOROZUMIENIA W BIAŁYM DOMU

Pierwsze nieporozumienia między Obamą a jego otoczeniem pojawiły się we wrześniu 2009 r. w związku z Afganistanem. Prezydent obiecał, że położy kres wojnie w tym kraju, natomiast gen. Stanley McChrystal, odpowiedzialny za operacje wojskowe na miejscu, sprzeciwił mu się twierdząc, że zwycięstwo wymaga wzrostu amerykańskiej obecności wojskowej; oceniał, że potrzeba mu 40 tys. żołnierzy. Przez trzy miesiące na kolejnych posiedzeniach sekretarz stanu, sekretarz obrony, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i dyrektor Wywiadu Narodowego starali się przekonać Obamę, że należy spełnić postulat McChrystala. „To nie leży w interesie narodowym”, nieustannie powtarzał prezydent, który nie chciał wydawać biliona dolarów i angażować się w długofalowy wysiłek odbudowy kolejnego tzw. państwa upadłego oraz uważał, że odbudową narodową należy zająć się we własnym kraju [4]. Odmawiając dokonania wyboru między wycofaniem się z Afganistanu a nieograniczonym zaangażowaniem wojskowym, którego domagał się gen. McChrystal,

wybrał kompromisowe rozwiązanie: zaangażowanie 30 tys. żołnierzy w ciągu 18 miesięcy. „Ameryka musi pokazać swoją siłę po to, aby położyć kres wojnom i zapobiegać konfliktom”, oświadczył 1 grudnia 2009 r. uzasadniając swój wybór. Wielu specjalistów w zakresie spraw wojskowych uważa, że kompromis ten był szczególnie nieskuteczny, ponieważ zasugerował talibom, iż należy przeczekać burzę.

Porównywalny scenariusz pojawił się w 2011 r., na początku „arabskiej wiosny”. Czy należy interweniować wojskowo, aby obalić Kaddafiego pod pretekstem, że grozi urządzeniem masakry ludności w opanowanym przez powstańców mieście Bengazi? Tym razem, z wyjątkiem Clinton, otoczenie Obamy było ostrożniejsze. Gates powiedział nawet publicznie, że kto przewiduje nową ekspedycję na Bliski Wschód, ten powinien „zbadać, czy jest zdrowy na umyśle” [5]. Presje wywierały jednak media, zagranica – szczególnie Francja i Wielka Brytania, które były zdecydowane iść na wojnę – i kongres, w którym demokratyczny senator John Kerry i jego republikański kolega John McCain wspólnie domagali się utworzenia strefy zakazu lotów. Prezydent ponownie podjął „centrową” decyzję: zgodził się interweniować, ale w ramach szerokiej koalicji, z mandatem Narodów Zjednoczonych, który przewidywał jedynie utworzenie strefy zakazu lotów – i szybko stał się przestarzały – oraz bez prowadzenia operacji wojskowych.

JAK KERRY „DAŁ SIĘ WYDYMAĆ”

Czy można w tym doszukać się „doktryny Obamy”? Stany Zjednoczone byłyby w takim razie nastawione na lead from behind, kierowanie z tylnego siedzenia, w celu obrony swoich interesów bez zbytniego narażania się: bombardując z dronów, uprzywilejowując zlokalizowane użycie sił specjalnych lub pozostawiając interwencję innym. „Kierowanie z tylnego siedzenia to nie jest kierowanie. To jest zaniechanie”, grzmiał wówczas w Washington Post neokonserwatywny dziennikarz Charles Krauthammer [5]. Wojna w Syrii pokazała, że dla amerykańskiego prezydenta nie chodziło o doktrynę, lecz

podobnie jak w przypadku Afganistanu o okolicznościowy wybór: Obama starał się zadowolić zarówno zwolenników, jak i przeciwników użycia siły – i nie zadowolił ani jednych, ani drugich.

Libijski precedens jedynie umocnił w nim niechęć do interwencji wojskowych. Przez dwa lata mnożył werbalne potępienia prezydenta Baszara al-Asada, wzywał go, aby zrezygnował z władzy, deklarował poparcie dla powstańców, ale nigdy nie przewidywał użycia swojej armii. Syria to nie Libia – państwo bez prawdziwych sojuszników. Sytuacja uległa zmianie w sierpniu 2013 r., kiedy reżim Asada oskarżono o użycie broni chemicznej na przedmieściu Damaszku i o przekroczenie w ten sposób czerwonej linii wytyczonej rok wcześniej przez Obamę. Czy Stany Zjednoczone mogły pozostać bierne, gdy w grę wchodziła ich wiarygodność? W Białym Domu zarysował się konsens wokół konieczności „ukarania” Asada. „Wielkie narody nie blefują”, ostrzegł wiceprezydent Joe Biden, na ogół nie sprzyjający ekspedycjom wojskowym [6]. Wydawało się, że Obama również jest przekonany; poprosił nawet, aby Pentagon zaproponował cele bombardowań.

W ostatniej jednak chwili, po dyskusji z McDonoughem, najbardziej antyinterwencjonistycznym doradcą, prezydent dokonał zwrotu o 180 stopni i zażądał od swojej ekipy, aby znalazła wyjście. Decyzja ta spowodowała deszcz pretensji we Francji, w Arabii Saudyjskiej, Izraelu i w państwach znad Zatoki. Sprawiała, że republikanie oskarżyli Obamę o „tchórzostwo”, a jednocześnie zirytowała wielu demokratów. Zwłaszcza Kerry uważał, że got fucked over, „dał się wydymać” prezydentowi [7]. Obama „posłał w świat niedobre przesłanie”, uważa w swoich wspomnieniach były sekretarz obrony Leon Panetta. „Epizod ten podkreślił jego najoczywistszą słabość. (...) Moim zdaniem prezydent zbyt często stawia logikę profesora prawa nad pasją przywódcy” [8].

„NOWE MONACHIUM” OBAMY

Liczni konserwatyści widzieli w decyzji Obamy punkt krytyczny, „nowe Monachium”, któremu przypisują długą serię nieszczęść: gdyby Stany Zjednoczone ukarały Asada w 2013 r., twierdzą, Organizacja Państwa Islamskiego nie przeżyłaby wzlotu, Iran nie zająłby tak poważnego miejsca na scenie syryjskiej, Moskwa nie miałaby odwagi anektować Krymu itd. Obama odpowiadał, że Rosji nie niepokoiły marsowe intonacje George’a W. Busha ani obecność 100 tys. żołnierzy amerykańskich w Iraku, kiedy interweniowała w konflikcie gruzińskim w 2008 r. Dla niego postrzeganie w zachowaniach Władimira Putina oznaki odrodzenia Rosji równa się „nieznajomości natury mocy w dziedzinie polityki zagranicznej. Prawdziwa moc oznacza, że można osiągnąć to, czego się chce, nie sięgając po przemoc. Rosja była znacznie mocniejsza wtedy, gdy Ukraina wyglądała na niepodległe państwo, a w rzeczywistości była kleptokracją, w której Moskwa mogła pociągać za sznurki” [9]. Ponadto Stany Zjednoczone wcale nie były bezczynne podczas kryzysu ukraińskiego: Obama nie tylko reaktywował NATO w Europie Środkowej, ale również wywarł presję na Unię Europejską, aby zastosowała wobec Rosji sankcje dyplomatyczne i gospodarcze.

Dla dyplomacji amerykańskiej decyzja w sprawie Syrii w sierpniu 2013 r. stanowi mimo wszystko punkt zwrotny. Po raz pierwszy od 2009 r. Obama nie wybrał „centrowego” wyjścia wojskowego: podejmując rokowania z Rosją w sprawie demontażu arsenału chemicznego reżimu syryjskiego skończył z odruchem, który polegał na tym, że za wszelką „prowokacją” wobec Stanów Zjednoczonych szła riposta wojskowa. Przełom ten potwierdził, że w Waszyngtonie wybrano strategię retrenchment, oszańcowania się [10]. Od wycofania wojsk z Iraku i Afganistanu poprzez odmowę podejmowania nowych ekspedycji wojskowych po redukcję budżetu sił zbrojnych Obama dążył do zmniejszenia amerykańskiej obecności wojskowej w świecie, tak, aby można było skupić się na problemach wewnętrznych i podołać skutkom destabilizacyjnego aktywizmu za rządów George’a W. Busha. Pomysł „oszańcowania się” jest zresztą jasno sformułowany w wytycznych w dziedzinie, opublikowanych w 2012 r. przez

Departament Obrony: „Kiedy tylko będzie to możliwe, w sferze realizacji celów związanych z naszym bezpieczeństwem będziemy stosować innowacyjne, mało kosztowne podejście o małym zasięgu. (...) Wojsk amerykańskich nie będzie się już używać do prowadzenia przewlekłych operacji na wielką skalę.” [11]

FIASKO ORIENTACJI AZJATYCKIEJ

Nie ma to wiele wspólnego z izolacjonizmem: Stany Zjednoczone zachowują dziesiątki rozmieszczonych na całej planecie baz wojskowych, największe siły zbrojne na świecie, „czułkowe” służby wywiadowcze; w ciągu 7 lat zbombardowały 7 krajów (Afganistan, Irak, Libię, Jemen, Pakistan, Somalię i Syrię); w dalszym ciągu wtrącają się w sprawy wewnętrzne innych państw i działają na rzecz destabilizacji ich rządów, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej [13].

Ten odwrót nie wynika również z idealizmu, który polegałby na dążeniu do redystrybucji władzy w skali światowej, ani z pacyfizmu. Obama powtarza, że nie jest przeciwnikiem wojny, lecz przeciwnikiem „głupich wojen”, które nie służą interesom amerykańskim i przynoszą ujemny stosunek zysków do kosztów. Dziś uchodźcy kierują się do Europy, Turcji czy Libanu, ceny ropy naftowej są niskie, do zamachów terrorystycznych dochodzi w Ankarze, Paryżu, Brukseli, Tunisie czy Bamako, dlaczego zatem Stany Zjednoczone miałyby podejmować ekspedycję wojskową na Bliski Wschód? Lecz atak na wielką skalę na ziemi amerykańskiej – większy niż strzelanina z 2 grudnia 2015 r. w San Bernardino w Kalifornii, w której zginęło 14 osób – może w każdej chwili to zmienić. „Jeśli jesteśmy aroganccy, [w innych krajach] wywołuje to resentymenty wobec nas; jeśli jesteśmy narodem skromnym, ale silnym, to nas cenia”, oświadczył George W. Bush w październiku 2000 r., w debacie wyborczej z Almem Gorem dodając nawet: „Uważam, że naszych wojsk nie należy używać do czegoś, co nazywa się nation building”, odbudową tzw. państw upadłych. Potem był 11 września 2001 r.

Obama, instalując się w Białym Domu, był zdecydowany zamknąć

ten rozdział i chciał skupić swoją uwagę na Azji, której rozwój robił na nim wielkie wrażenie. Taki był sens polityki zapoczątkowanej w 2010 r. „«Przywrócenie równowagi» z Azją przez administrację Obamy odegrało taką samą rolę w jej strategii oszańcowania się, jaką otwarcie się na Chiny odegrało w amerykańskim oszańcowaniu się z końcem wojny w Wietnamie”, pisze Stephen Sestanovich, profesor Uniwersytetu Columbia. „Pomyślano je jako dowód na to, że – mówiąc słowami Nixona – Stany Zjednoczone nie «idą na dno jako wielkie mocarstwo».” [14] Choć reorientacja ta pociągnęła za sobą kilka działań symbolicznych (wizyty państwowe, otwarcie bazy wojskowej w Australii, wzmocnienie floty amerykańskiej na Oceanie Spokojnym...) i pozwoliła podpisać 4 lutego 2016 r. porozumienie o Partnerstwie Transpacyficznym (TPP), nie udało się doprowadzić jej do końca. „Arabska wiosna” w 2011 r. zmusiła Stany Zjednoczone do powrotu na Bliski Wschód.

NA PRZEMIAN PEWNOŚĆ SIEBIE I ZWĄTPIENIE

W swoich rozmowach z Jeffreyem Goldbergiem Obama okazuje jeśli nie brak zainteresowania, to przynajmniej znużenie tym regionem, który, jak się wydaje, uważa za beznadziejny przypadek. Afirmuje swoją preferencję dla tych narodów Azji, Afryki i Ameryki łacińskiej, które „nie zastanawiają się, jak zabijać Amerykanów, lecz jak mieć lepszą edukację, jak stworzyć coś, co miałoby wartość”. Stany Zjednoczone wydały więcej pieniędzy na „odbudowę” Afganistanu niż na odbudowę 16 państw europejskich objętych Planem Marshalla po II wojnie światowej [15], a mimo to nie udało im się zaprowadzić tam jakiegokolwiek ładu. Wojna w Iraku i okupacja tego państwa oraz interwencja w Libii nie dały lepszych rezultatów. Te kolejne fiaska przekonały w końcu Obamę o ograniczoności potęgi amerykańskiej: ona nie może zdziałać wszystkiego, a zwłaszcza nie może przebudować Bliskiego Wschodu po swojej myśli.

Po II wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych mamy na przemian okresy pewności siebie i okresy zwątpienia w zdolność

tego mocarstwa do zawiadywania światem. Euforię, która zapanowała po zakończeniu wojny, zastąpiło w latach 50. pytanie o amerykańską supremację: czy Stany Zjednoczone są na tyle potężne, że zatrzymają postępy komunizmu, które symbolizowały zwycięstwo rewolucji chińskiej i bomba atomowa w rękach ZSRR? „Nasza niezdolność do zachowania zasobów, rosnąca waga naszych zobowiązań budżetowych, zawrotny wzrost naszego długu publicznego” prowadzą kraj do „względnego schyłku”, alarmował od 1952 r. gen. Douglas McArthur, do niedawna naczelny dowódca Wojsk Narodów Zjednoczonych w wojnie koreańskiej, który chciał zaatakować Chiny Ludowe bombami atomowymi. Następne dziesięciolecie to nawrót do pokusy hegemonicznej. 20 stycznia 1961 r. John F. Kennedy, obejmując urząd prezydenta, proklamował: „Zniesiemy każdy ciężar, poddamy się każdej próbie, wesprzemy każdego przyjaciela. Przeciwdstawimy się każdemu nieprzyjacielowi, aby sprawić, że wolność zatriumfuje lub przetrwa.”

Fazy pewności siebie często przypadają na okresy, w których nierówności społeczne się zmniejszają, a klasie średniej przyszłość wydaje się jasna. Kiedy tylko na horyzoncie zaczyna się ściemniać, potęga znów staje się ciężarem. W latach 70., kiedy stopy procentowe i zadłużenie gospodarstw domowych rosły, a dwa wstrząsy naftowe osłabiały gospodarkę amerykańską, katastrofalne dla Stanów Zjednoczonych zakończenie wojny w Wietnamie i radzieckie postępy w Azji i Afryce ujawniły luki w amerykańskiej dominacji wojskowej. W 1976 r. badania przeprowadzone przez Council on Foreign Relations wykazały, że 43% Amerykanów uważa, iż Stany Zjednoczone powinny „zająć się w pierwszej kolejności swoimi własnymi sprawami” – był to rekordowy wynik odkąd w 1964 r. zaczęto prowadzić te badania (wzrost o 20%).

DWIE FORMY NACJONALIZMU AMERYKAŃSKIEGO

W 2013 r. Amerykanie, którzy tak uważają, stanowili 53% – to nowy rekord. Z sondażu przeprowadzonego w marcu 2014 r. wynika, że tylko 30% Amerykanów chciałoby, aby ich państwo

broniło Polski, gdyby zaatakowała je Rosja; w przypadku Łotwy tylko 21%, a nawet w przypadku Wielkiej Brytanii zaledwie 56%. Z sondażu na sondaż szerokie poparcie uzyskują tylko ataki z dronów i bombardowania Organizacji Państwa Islamskiego, które rząd amerykański postanowił podjąć po zajęciu przez tę organizację Mosulu i ścięciu dziennikarza James Foleya w sierpniu 2014 r.

Co prawda „opinia to coś, co się urabia” i można sprawić, że wojna, która nie jest popularna, stanie się popularna [16]. Obama nie ma jednak ochoty tego robić, podobnie jak Cruz i Trump, a ten ostatni zaproponował nawet, aby Stany Zjednoczone wystąpiły z NATO, gdyż jego zdaniem organizacja ta jest „przestarzała” i za drogo kosztuje. Jak pokazuje brytyjski historyk Perry Anderson, interwencjonizm i izolacjonizm stanowią dwie formy tego samego nacjonalizmu. Jeden legitymizuje panowanie Ameryki waloryzując jej uniwersalność (co uzasadnia mesjanistyczny aktywizm władz w Waszyngtonie, mający sprowadzić planetę na dobrą drogę), a drugi – jej wyjątkowość (co zachęca do zachowania jedyne w swoim rodzaju charakteru społeczeństwa amerykańskiego) [17].

Dominujący po II wojnie światowej izolacjonizm znikł niemal zupełnie w obozie konserwatywnym podczas zimnej wojny i pojawił się na nowo po krachu Związku Radzieckiego. Przyjął wówczas dwie formy. Jedna polegała odwrócenie w ścisłym znaczeniu tego słowa z areny międzynarodowej, co reprezentował libertarianin Ron Paul, a druga na konserwatywnym antyinterwencjonizmie, który promował Patrick Buchanan, były współpracownik Nixona i Reagana. „Jeśli nie przestaniemy zachowywać się jak imperium brytyjskie, skończymy jak imperium brytyjskie”, zapewniał ten ostatni w 2006 r. [18] Nurt ten, bardzo mniejszościowy w ostatnim dziesięcioleciu XX w. i w pierwszym dziesięcioleciu XXI w., nabrał nowego wigoru za prezydentury Obamy. Skupiony wokół Cato Institute i czasopisma American Conservative, założonego w 2002 r. przez Buchanana po to, aby sprzeciwiać się wojnie w Iraku, eksponuje on

katastrofy, do których doprowadziła ta wojna, jak również wojna w Afganistanie, a także wskazuje na kontekst – kryzys gospodarczy i społeczny. Dług publiczny skłania bowiem pewnych republikanów do preferowania cięć w wydatkach wojskowych, a nie do utrzymania budżetu wojskowego w dotychczasowych rozmiarach. W sierpniu 2011 r. Kongres uchwalił plan oszczędnościowy (zwany „sekwestracją budżetową”), który przewiduje, że w ciągu 10 lat w budżetach sił zbrojnych dokona się cięć na sumę biliona dolarów. „Jastrzębie budżetowi” wzięli wtedy górę nad „jastrzębiami wojskowymi”.

INTERWENCJE WOJSKOWE – KTO ZA, KTO PRZECIW

Sukcesy odnoszone przez kandydatury Trumpa i Cruza w prawyborach republikańskich potwierdzają tę nową tendencję i ujawniają rosnącą lukę między establishmentem polityki zagranicznej a wyborcami opowiadającymi się za odwołaniem z areny międzynarodowej. Dziś jeszcze najbardziej wpływowe think tanki, wysocy funkcjonariusze Pentagonu i Departamentu Stanu, autorzy artykułów wstępnych lub redakcyjni komentatorzy w Wall Street Journal, Washington Post, Fox News czy Cable News Network (CNN) to głównie zwolennicy interwencjonizmu i ich głos nadal bardzo się liczy. „Establishment polityki zagranicznej niemal w całości stanowią po prawej stronie neokonserwatyści, a po lewej liberalni interwencjoniści”, stwierdza Benjamin Friedman. Większość z nich oświadczyła, że wstrzymają się od głosu, jeśli Cruz albo Trump zostanie kandydatem republikanów na prezydenta, a nawet – że zagłosują na Hillary Clinton. Pretendentka demokratyczna popierała wojnę w Iraku oraz bombardowania w Libii i Syrii, uważa, że porozumienie w sprawach energii jądrowej z Iranem jest za mało stanowcze i nie waha się krytykować Obamy, odkąd odeszła z Departamentu Stanu. Choć ostatnio złagodziła swoje wypowiedzi w tej sprawie, aby stawić czoło atakom jej konkurenta Berniego Sandersa – który zawsze miał nastawienie antywojenne – jest ona najbardziej interwencjonistyczną kandydatką i najbardziej odpowiada amerykańskiej elicie polityki zagranicznej.

„Realiści i inni badacze odnoszący się sceptycznie do interwencji skupiają się przede wszystkim na uniwersytetach”, uważa Friedman [19].

Ześrodkować się na Stanach Zjednoczonych: argument ten często pada z ust Cruza, Trumpa i Obamy jako uzasadnienie właściwego im braku wojowniczej werwy. Wszyscy trzej podzielają również opinię, że sojusznicy Stanów Zjednoczonych, od Arabii Saudyjskiej przez państwa znad Zatoki, Niemcy i Japonię po Francję, zamiast nadal liczyć, że Ameryka je wyręczy, powinni wziąć na siebie część ciężaru odpowiedzialności za międzynarodowy system bezpieczeństwa. O ile wszyscy trzej afirmują wolę eliminacji zagrożenia, jakie stanowi Organizacja Państwa Islamskiego, o tyle niektórzy proponują zastosowanie metody nalotów dywanowych, ale paradoksalnie zgadzają się, że Bliski Wschód nie leży już w centrum zainteresowań Stanów Zjednoczonych.

Stanowisko to, niewątpliwie słuszne w sferze gospodarczej, budzi wątpliwości z moralnego i politycznego punktu widzenia. Czy Stany Zjednoczone mogą bowiem zadekretować z dnia na dzień, że nie chcą już sprawować przywództwa, które siłą armat egzekwowali przez 60 lat? Czy bez skrupułów, bez żadnego odszkodowania (rekompensaty finansowej, wsparcia dyplomatycznego, ustanowienia współpracy opartej na sprawiedliwej wymianie handlowej itp.) mogą odwrócić się plecami do regionu, który cierpliwie zdestabilizowali? „Ważne nie jest to, aby mieć pokój [na Bliskim Wschodzie], lecz to, do jakiego stopnia Stany Zjednoczone są zamieszane w brak pokoju”, stwierdził cynicznie Jeremy Shapiro, badacz w Brookings Institution i doradca Departamentu Stanu. Historia to nie tabula rasa: jeśli nawet Stany Zjednoczone nie będą już miały w tym regionie żadnych żołnierzy, pozostaną odpowiedzialne za chaos, który w nim spowodowały.

Autorstwo: Benoît Brêville

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPISY

- [1] T. Alberta, E. Johnson, „Many GOP Foreign-Policy Leaders Are Suspicious of Ted Cruz”, National Review, 14 grudnia 2015 r.
- [2] J. Vadsse, Barack Obama et sa politique étrangère (2008-2012), Odile Jacob, Paryż 2012.
- [3] R. Gates, Duty: Memoirs of a Secretary at War, Knopf, Nowy Jork 2014.
- [4] B. Woodward, Obama's War, Simon & Schuster, Nowy Jork 2010.
- [5] G. Jaffe, „In One of Final Addresses to Army, Gates Describes Vision for Military's Future”, The Washington Post, 26 lutego 2011 r.
- [6] Cyt. za O. Harries, T. Switzer, „Leading From Behind: Third Time a Charm”, The American Interest t. III nr 5, maj-czerwiec 2013 r.
- [7] Cyt. za J. Goldberg, „Obama Doctrine”, The Atlantic, kwiecień 2016 r.
- [8] Tamże.
- [9] L. Panetta, Worthy Fights: A Memoir of Leadership in War and Peace, Penguin, Nowy Jork 2014.
- [10] Cyt. za J. Goldberg, op. cit.
- [11] Department of Defense, Sustaining U.S. Global Leadership: Priorities for 21st Century Defense, Waszyngton, Biały Dom, 3 stycznia 2012 r.
- [12] C. Dueck, The Obama Doctrine: American Grand Strategy Today, Oxford University Press, Nowy Jork 2015.
- [13] Zob. M. Lemoine, „Destabilizacja polityczna i lajtowy

zamach stanu”, Le Monde diplomatique – edycja polska, sierpień 2014 r.

[14] S. Sestanovich, *Maximalist. America in the World from Truman to Obama*, Knopf, Nowy Jork 2014.

[15] Kalkulacja skorygowana o inflację. Por. I. Bremmer, *Superpower. Three Choices for America's Role in the World*, Portfolio/Penguin, Nowy Jork 2015.

[16] S. Halimi, D. Vidal, H. Maler, M. Reymond, „L’opinion, ça se travaille”. *Les médias et les guerres justes*, Agone, Marsylia 2014.

[17] Perry Anderson, *American Foreign Policy and Its Thinkers*, Verso, Londyn 2015.

[18] P.J. Buchanan, „Why Are We Baiting Putin?”, 9 maja 2006 r., na www.antiwar.com.

[19] B. Friedman, „The State of the Union Is Wrong”, *Foreign Affairs*, 28 stycznia 2014 r.